

Wsiąść do pociągu byle jakiego?

Czasem miewam dzikie myśli

Na szczęście w chwili, kiedy będziecie czytali niniejszy felieton, wybory prezydenckie przejdą już do historii. W związku z tym mogę sobie pozwolić na luksus braku obiektywizmu, wręcz totalne pogrążenie się w mojej subiektywnej i jak najbardziej stronnicej wizji świata.

Nie widzę powodu, dla którego miałabym głosować na Wileckiego czy Leppera. Nawet, jeśli mówią rzeczy zasługujące na uwagę. Może warto odpowiedzieć sobie na pytanie: czy zagłosowałabyś/zagłosowałbyś na faszystę, który obieca, że połowa kraju stanie się parkiem narodowym? Czy zadając kandydatowi to jedno pytanie (o stosunek do ekologii), tak jak to uczynił Tomasz Lisiecki, rzeczywiście zyskujemy jasną sytuację? Czy w ogóle warto w ten sposób egzaminować kandydatów? Problem polega chyba zupełnie na czymś innym. Chyba wolałabym konserwatywnego liberała (to całkowicie fikcyjny przykład), z którym da się podyskutować i który szanuje swoich przeciwników niż bardzo ekologicznie zorientowanego działacza zamkniętego zupełnie w swoich poglądach. Nie łudzę się bowiem, że zgodzę się ze wszystkimi poglądami ludzi, na których głosuję. Wolałabym mieć świadomość, że ewentualne różnice poglądów nie staną się podstawą do polowania na czarownice. Jeśli Łopuszański mówi "Nie dla Unii Europejskiej", nie znaczy to, że automatycznie zdobędzie sobie moje poparcie. Choćby dlatego, że ja mówię TAK dla Europy i mam na myśli coś innego, niż biskupi. Trochę męczy mnie już okopywanie się na własnych pozycjach. Gdybym dziś miała wybierać między Unią Europejską (w której zresztą toczy się nieustanna debata na tematy zasadnicze, o czym my, Polacy, nie mamy żadnego pojęcia) a Polską Lepperów, Wileckich, Łopuszańskich (którzy wszak deklarują przywiązanie do rodzimej ziemi, gospodarstw rolniczych i niechęć do Unii oraz hipermarketów), to z pewnością przynajmniej mocno bym się zastanowiła. Niektórzy z ekologów - nie jest to wszak żadna tajemnica - zajmują się tworzeniem programu Leppera i to jest prawdziwa przyczyna proekologicznych wystąpień tego jedyne autentycznego ludowego działacza, pamiętam również alians ekologów i "Samoobrony" podczas kampanii antyautostradowej. Przygnębiające jest dla mnie to, że człowiek, który znakomicie sprawdza się jako związkowy działacz, od razu mierzy w kierunku Belwederu. Może zresztą chodzi o kampanię reklamową przed bliskimi wyborami parlamentarnymi. Osobiście wolałabym nie być umieszczana (jako ktoś, kto bierze udział w ruchu ekologicznym) w pobliżu Leppera, Łopuszańskiego i Wileckiego. Nie wydaje mi się, żeby mogło to pomóc sprawie. I nie wierzę w nagłą miłość rolników do dzikiej przyrody, ani ich chęć do uprawiania rodzinnych gospodarstw. Niestety, trąci to zbyt sielankową wizją wsi rodem ze snu miejskiego chłopomana. Prawda o polskiej wsi leży pewnie gdzieś pośrodku. Dzisiejsze polskie, rodzinne gospodarstwa w swojej masie tak samo dewastują przyrodę, jak robiłyby to przemysłowe koncerny, mniejsza jest jedynie skala i możliwości. Filozofia ta sama. Zysk przede wszystkim. Należy do tego dodać głupotę połączoną z brakiem wyobraźni i wrażliwości - bo jak inaczej nazwać spuszczenie ścieków do potoku niemal tuż przy jego źródłach?

Coraz częściej dopada mnie poczucie frustracji: nie z powodu narastającej agresji lobby industrialno-"rozwojowego". Coraz częściej powodem mojej frustracji jest niemożność rozmowy. Okopujemy się na swoich pozycjach. I "my", i "oni". Zaczynamy posługiwać się sloganami, nowomową, nasz język staje się jałowy i pusty. Tak, mówię o "naszym" języku i o naszych działaniach. Drzwi się zamykają, nie mamy "im" nic do powiedzenia, "oni" nie mają nic do powiedzenia "nam". Na wszystko pojawia się prosta recepta. Banki są złe, my jesteśmy dobrzy. Nie wierzę w taką wizję rzeczywistości i nie chcę żyć w takiej rzeczywistości. Taka rzeczywistość to dla mnie klęska większa niż lunapark w Tatrach. Taka rzeczywistość pochodzi z tendencyjnego, sentymentalnego amerykańskiego filmu, w którym role są wyraziste i zawsze czarno-białe. Mam wątpliwości i dobrze mi z tym, one mnie ratują

przed zgorzknieniem.

Marzę o tym, że pewnego dnia obudzę się, a politycy w gazetach będą mówili: nie wiem, zastanówmy się razem. Wtedy będę mogła ocenić, które zaproszenie do współpracy jest wartościowsze. Nie będzie programów (zresztą dzisiaj również ich nie ma, bo te żałosne zlepki frazesów nie zasługują na takie miano), zniknie również demagogia, a język zacznie wreszcie być narzędziem porozumienia, a nie sposobem na wywarcie wpływu czy wywołanie wrażenia. Oczywiście to tylko marzenia. Imagine there's no possession...

I to, co przeraża mnie najbardziej: tacy kandydaci, jacy Polacy?

P.S. Bo kandydatka była jedna. Wirtualna. Może więc Polki są z zupełnie innej rzeczywistości.

Anna Nacher